

JÓZEF LASOŃ.

Gangrena

Z CYKLU: „NA PALACH ŻYCIA”.

2)

— Właściwie ja tu przybyłem z interesem do szanownego pana radcy — zwrócił się Guccio do pana Antoniego. — Można zarobić grubo!

— Cóż to? Cóż to? — nerwowo spytała pani gospodyni.

Guccio uśmiechnął się do pani domu. ruchem głowy wskazując na siedzących. Po odejściu dziadusia i dzieci do sypialni, Guccio rozpoczął:

— Mam dla pana Antoniego doskonały interesik. Można za kilka tygodni ładny kapitałik zarobić, bez troski żyć. Bo cóż? Pan Antoni dwadzieścia kilka lat w służbie i co ma z tego? Czy może żyć za swoją solidną pracę, za tyle lat służby? Głód i nędza. Pensja nie wystarcza na to, ażeby raz dziennie suchego kawałek zjeść. Ja znam państwa z przed wojny i wiem, jakieście żyli, a dziś... dziś, gdyby nie to, że macie te dwa frontowe pokoje, cóżby było?

— Przykro to — przerwała pani Katarzyna — ale co robić? Musiałam dziewczętom wynająć pokoje, bo z czegoż żyć, wychować dzieci, na miłość boską. Wsiądź mnie, co prawda nieraz, dzieci własnych się wstydę, ale co robić? Żołądek nie ma litości!

— Dobrodziejko! — pan Guccio zapewniał — trudno, gdy się musi, to się musi. Ale przecież jestem państwu życzliwy i chciałbym dopomóc.

— Słucham! Słucham! — rzekł pan Antoni.

— Otóż rozchodzi się o to. Z za granicy, z Czech, przesyłane będą wagony, które trzeba opatrzyć numerem urzędowym, postarać się o rzeczywisty fracht kolejowy i dotransportować do naszej stacji. Za każdy wagonik dwieście tysięcy marek. Tygodniowo może iść do pięciu wagonów. Granica jest już załatwiona, dworzec kolejowy także, rozchodzi się tylko o pana Antoniego. Wprawdzie chciał to zrobić kto inny, ale ja jestem państwu życzliwy i pragnę dać wam dobry interes. Przyznam się, że zrobiłem już około piętnaście wagonów. No co, panie Antoni, zgoda?

Antoni zneruchomiał przy stole. Nie przerywał mowy Gucciu, wsłuchiwał się i rozważał. Właściwie powinien się oburzyć — rozmyśla — robi mi po prostu złodziejskie propozycje, oszukiwa i fałszerstwa idące w miliardy. Miał zamiar kilka gorzkich słów prawdy rzucić w odpowiedzi, ale oczy żony odwiodły go od tego zamiaru. Wyczytał w oczach żony, że propozycja ta przypadła jej do serca, że chwyciła się tej myśli, jak deski ratunku.

— No i co panie Antoni, zgoda?

— Nie, drogi — odparł Antoni po namyśle — propozycja ta nie jest dla mnie.

— Dlaczego?

— Jest niewykonalna!

— Tyle razy się udało!

— Ale ja się boję.

— Czegoż się boisz — przerwała gniewnie pani domu.

— Boję się grzechu, oszustwa, no i... kary śmierci. Ustawa jest sroga i poproszę obawiam się zasłużyć na karę śmierci, choćbym jej zdołał nawet uniknąć.

Guccio wspólnie z żoną poczęli go przekonywać o konieczności rozpoczęcia nowego życia, wydobicia się z młotki codziennych trosk i braków, ze szponu nędzy i upodlenia.

— Wstyd, że ja, twoja żona, muszę odnajmywać pokoje dziewczętom, po to, żeby żyć. Masz dorosłą córkę, syna do wychowania i musisz to zrobić.

Powiedziawszy to, pięścią uderzyła w stół tak silnie, że talerze podskoczyły do góry.

Prybowski skrzyżował ręce na piersiach i odrzekł płaczliwym głosem:

— Przysięgam, nie mogę, nie mogę!

— Musisz! Musisz!...

— Dobrodziejko! Mamy czas! Jutro przyjadę autem, pojedziemy na kolacyjkę, jakoś się to wszystko zrobi i ułoży.

Zapowiedź kolacyjki i auta uśmierzyły gniew pani Katarzyny. Serdecznie podziękowała Gucciu za wszelkie starania i odprowadziła go do drzwi. Ukłonił się niziutko, uściśnął bezwładną dłoń pana Antoniego, zostawiając go na pastwę

losu, pewny, że propozycja skierowana, jutro czy pojutrze będzie przyjęta.

W przedpokoju natrafił na jakiegoś nieznanego mężczyznę, który pośpiesznie zdierał zarzućkę, ze wzrokiem spuszczonego ku ziemi. Przez omyłkę zabrał jego kapelusz i właśnie przeproszał go za nieuwagę.

Nieznamy wyszedł pośpiesznie. Guccio ujął klamkę drzwi i w tej chwili drzwi od frontowego pokoju uchyliły się.

Guccio wydał zdziwiony okrzyk.

— Ira! Ty tu!

— Tak! Tak — roześmiała się niewiasta stojąca we drzwiach — to ja.

Sublokatorka państwa Prybowskich, Irena, była starą znajomą pana Gustawa. Historia jej nie ciekawa, przeciętna życia kurtyzany. Opowiadają jej wiecznie. Jedne mówią z przyzwyczajenia, z braku tematu, inne, wspominając pierwszego kochanka, usiłują się rozkoszować wspomnieniem.

Gustaw poznał Irenę w czasie, gdy rzuciła się w obłędny taniec rozkoszy, który stał się podstawą jej bytu. Był wówczas praktykantem telegraficznym, wydalonym z powodu jakiejś niejasnej sprawy, z której się rozmaicie tłumaczył. Rozmałość ta zmywała niewinność udawaną w słowach. Przygarnęła go, żywiła i ubierała. Podobał się jej i lubił go bardzo. Stał się jej przez jakiś czas niezbędny i pożyteczny. Niezbędny i pożyteczny, gdyż w chwilach samotności wywczasowych godzin miała z kim porozmawiać, kim się rozzerwać i pobawić. Tak jak dziecku zabawka, jej niezbędny był wówczas Gustaw.

Wojna ich rozdzieliła. Wymiotła Gustawa z opiekuńczych ramion Ireny, wyrzuciła na rozkolysane fale burzy wojennej. Wypłynął szybko na wierzch, zdobył stopień sierżanta prowiantowego. Ciągnął za liniami wojsk, jak kruk za żerowiskiem, wysilając sprężyną dotychczas energię i mózg na zdobycie majątku kosztem wszystkiego i wszystkich. Mackami polipa przyczepiony do powierzzonego mu zadania i funkcji, ssał krzywdę żołnierzy i armii. Wyszedł z wojny zwycięski, zasobny, przygotowany do dalszego życia; wojna uczyniła z niego człowieka sprytu, energii, zaoszczędziła zęby, wyciągnęła ukryte pazury pierwotnego człowieka silnego, który pożerał słabszego bez wstrząśnięć sumienia, pił łzy krzywdy innych, bez uczucia gorczy czynku, gotowego do każdego szelmostwa, wiodącego do majątku.

Opowiada właśnie przeżyte historie i zamiary na przyszłość. Jest wprawdzie dość bogaty, ale kapitał dzisiaj nic nie znaczy. Trzeba pracy, szybkiego obrotu kapitału; do pracy czuje niezużyta energię; wprost nadmiar sił. Przybył do Prybowskich z ważnym interesem. Jest pewny, że Prybowski zgodzi się na jego warunki i w ciągu najbliższych tygodni kilka wagonów uda się przy pomocy Prybowskiego wyładować na miejscu. W interes ten włożył niemal całą gotówkę. Są to po części materiały zbytkowne, które nie wolno sprowadzać z zagranicy, ale tem pewniejsze są zyski. O ile uda się ten interes, a udać się musi, może sobie odpocząć kilka miesięcy.

Przejęty jest opowiadaniem; twarz wydłużona błyszczący ożywieniem, oczy nabrały blasku rozżarzonych węglików. Silniejsze słowa mówi dobitniej, zaciskając muskularne pięści; czai się jak tygrys w dżunglach na to „coś” upatrzone. Skokiem przedrze zapory dżungli, pazurami rozedrze ofiarę, zdusi i wypije krew. Prostu Prybowski musi mu uleść. Ma na to środki. Jeśli nie, to zdusi go w pięściach, rzuci na śmietnisko losu.

Irena wyciągnięta na szezlongu, w różowym szlafrocuku, podparła rękami głowę i słucha Gustawa. Podziwia go w tej chwili. Znała go zupełnie innym, bezradnym, leniwym, pasożytniczym jej kosztem. Poprosiła piesek pokojowy przemieniony przez wojnę w lwa nieustraszonego, krwiożerczego, wiecznie wygłodniałego i nieustannie żerującego. Jeśli był dla niej obojętnym, staje się ciekawym; służył igraszkom jej kaprysów, chce być igraszką jego silnych pazurów.

Ale Gustaw, rozigrany zamiarami, nie widzi i nie zważa na Irenę. Wreszcie wstaje z zamiarem odejścia.

— Gdzie idziesz? Zostań!

— Nie mogę dziecińko. Żona czeka w kawiarni.

— Żona! — zdziwiona zrywa się z szezlongu.

— No tak! Ożeniłem się przed miesiącem. Irena zaczyna się zlekka ironicznie śmiać. Patrzy zdziwiona.

— Że znalazła się kobieta, która zdecydowała się pojąć za męża ciebie?

— Mówisz przez zazdrość!

— Zazdrość? Czego? Możliwe, że w pierwszej chwili sądziłam, żeś przyszedł z bogactwem rzucić mi się do nóg i prosić o rękę, ofiarowując cały zdobyty grosz. Ostatecznie możebyś się zdecydowała. W każdym razie choćby dlatego, że małżeństwo dałoby mi firmę, trochę odpoczynku, mniej trosk. Ale nie mam czego żałować. Miałam ciebie dosyć, aż do znudzenia.

— Mam pewien zamiar.

— Zamiar — zdziwiona patrzy na Gustawa — względem kogo i o co?

— Jestem dość bogaty, mogę zapewnić spokojne, dostatnie życie!

Roześmiała się głośno.

— Szkoda! Ale widzisz, nie mogę przyjąć tej wspaniałej propozycji. Krępowałoby mnie to niezmiernie, a ja kocham wolność, swobodę. Następnie nie imponuje mi to. Mój drogi, na to jeszcze mam czas! Jestem jeszcze młoda, piękna, świat stoi przedemną, a wy mężczyźni u mych nóg! Poprosiła czołgając się u mych stóp, To mnie bawi, to mi sprawia rozkosz.

Gustaw mówił, przekonywał. Czytała w jego oczach fałsz, kłamstwo pragnącego oszukać. Te wszystkie słowa, wygłaszane przysięgi w tej chwili, nie są niczem innym, tylko żądzą rozpięrającą krew. Widzi to dobrze, wyczuwa.

Tych kilka ostatnich chwil doprowadziło ją do równowagi. Lew przemienił się znów dla niej w pieszczonę psa, który na dobieg dostał nosaczyny i należy się go pozbyć, póki choroba nie przybierze dalszych rozmiarów.

— Głupcze — roześmiała się Irena — ani ciebie, ani twoich bogactw nigdy nie pragnęłam i nie będę pragnąć. Wy mężczyźni jesteście zawsze podli, jeśli chodzi o kobiety. A każdy z was jest zdolny popełnić zbrodnię; jeden dla kobiety, drugi zaś przez kobietę. — Możesz iść — wskazała ręką drzwi — do żony.

Gustaw w milczeniu wysunął się z pokoju. W przedpokoju natknął się na Prybowską, która gasiła światło. Ucałował podaną rękę, wysunął się ukradkiem z przedpokoju.

Prybowska zamknawszy mieszkanie, drepząc pantoflami, ruszyła do sypialni. Mąż leżąc w łóżku, wypalał ostatniego papierosa, przeglądając poranny dziennik.

— Cóż tam w dzienniku? — zapytała.

— Węgiel podróżuje o sto procent.

— Za węgiem pójdzie wszystko! Drożyzna i drożyzna! Człowiek poprosi się sprzedaje i nie może żyć. Stanowczo mój kochany — przysiadła się do łóżka męża — musimy coś radzić. Ta dziewczyna także taka. Ja takiego życia nie mogę znieść — mówiła rozczulając się. — Zapewne taka sama ulicznica, jak poprzednie. Mówiła, że mężatka, że mąż przyjedzie!

— To trzeba jej wypowiedzieć!

— Z kawalerami także to samol! Będzie co chwilę przyprowadzał kolegę i koleżanki. A przecież córka i syn dorastają! A przecież z pensji żyć niepodobna. Nędza i nędza.

— Trudno, trzeba wyrwać — odpowiada mąż.

— Trzeba umieć walczyć o los — odpowiada kobieta — inni ludzie żyją, dobrze im się powodzi, mają co jeść, w co się ubrać. O! żona konduktora z oficy w jedwabiach chodzi...

— Tak, w jedwabiach... za krzywdę ludzką!

— Jaką krzywdę? — zdziwiona zwraca się do męża — on zapobiegliwy, sprowadza towary, handluje...

— Kradnie — szepce z trwogą Prybowski — kradnie państwo na towarze niecionym, kradnie ludzi na towarze przemycnym. Ja tak żyć nie chcę... Ja tak się spodlić nie mogę...

— Widzisz — odpowiada — czy myślisz, że o nas ludzie inaczej mówią? A pokoje, które odnajmuję, które co parę dni zmieniają lokatorów. Gdyby nie te dwadzieścia tysięcy miesięcznie zarobione z pokojów, chyba umarlibyśmy z głodu. Tylko to, że córka dorasta, zarazić się może tą wściekłą zycia, jaka się rozpanoszyła, tą gangreną.

(Dalszy ciąg nastąpi).